

Komunikat
Komisji Artystycznej
XXXV Międzywojewódzkiego Sejmiku
Wiejskich Zespołów Teatralnych
w Tarnogrodzie

W dniach 5 – 7 lutego 2010 roku, w ramach sejmikowego przeglądu, wystąpiło 19 teatrów z województw: lubelskie, mazowieckie, podkarpackie i świętokrzyskie. Komisja Artystyczna w składzie:

- Marian Glinkowski – reżyser
- Katarzyna Smyk - folklorysta
- Lech Śliwonik - teatrolog
- Edward Wojtaszek - reżyser

obserwowała spektakle oraz przeprowadziła konsultacje i zajęcia warsztatowe z zespołami. Najważniejsze uwagi Komisja odnotowuje w niniejszym komunikacie.

Jako pierwszy w tegorocznym Sejmiku zaprezentował się **Zespół Obrzędowy** z Hańska (pow. włodawski, woj. lubelskie) z przedstawieniem *Oborywanie kozy na dworskim*. Zobaczyliśmy udaną inscenizację pracy i obrzędu. Miejscem działań było pole, na które Zespół przeniósł nas, ustawiając na scenie rzędy zboża tak zmyślnie, że przypominały dorodny łąn. A potem...Żęcie zboża starodawnymi sierpami. Plotki na temat pani dziedziczki czy ekonomy. Opowieści o tegorocznej nocy świętego Jana, gdy zabawa przeciągała się do świtu i co niektórym udawało się przyłapać znajomych w bardzo intymnych sytuacjach. Pieśni dożynkowe. Targowanie się Żyda Mośka z ekonomem. Wykonanie tradycyjnej zdobnej *kozy*. Niespodziane, choć przecież wpisane w obrzęd, trzykrotne za Słońcem *oboranie* jej ekonomem. I wreszcie pochód z pieśnią do dworu i dziedzica. A wszystko w doskonale zorganizowanej przestrzeni, ze zindywidualizowanymi i dobrze zagranymi postaciami, w zróżnicowanych i wyważonych tonacjach: i powagi, i swarów, i żartu. Spektakl zasłużył na wiele pochlebnych słów, choć trzeba też wskazać potrzebę dopracowania kilku elementów. Na przykład postać Mośka nie została dość mocno włączona do prezentowanej opowieści, jaśniepan zasługiwał na usytuowanie w centrum finałowej sceny, zaś swarliwa Pituchowa zyskałaby na wyrazistości, gdyby wyeksponować to, że jest cwana raczej niż złoźnica. Zespół zrównoważył te niedoskonałości bardzo ciekawymi wariantami opowieści wierzeniowych o diabelskim kamieniu, który ponoć niedaleko Hańska leży do dziś.

Gromniczna w Zanowiniu to tytuł przedstawienia przygotowanego przez **Zespół NADBUŻAŃSKI KLON ZIELONY** z Zanowinia (woj. lubelskie, pow. chełmski).

Na scenie widzimy wewnątrz chałupy: po lewej - dwóch chłopców bawiących się na ławce tradycyjnymi, drewnianymi zabawkami, po prawej – kołyska, nad którą babka śpiewa bardzo piękną kołysankę, pośrodku – przy stole młoda kobieta obwiązuje lnem gromnicę. Szykuje się do kościoła. Do domu, po tygodniu, wraca mężczyzna. Siada do stołu i jedząc opowiada o pracy w lesie. Po jakimś czasie pyta o „małą” patrząc w stronę kołyski. Otrzymałszy odpowiedź, że wszystko w porządku, spokojnie konsumuje dalej. Dziwi trochę, że nie nawet podejdzie i nie spojrzy na dziecko. Takie sytuacje oraz fakt, że bohaterowie do końca nie zostają nazwani, powodują, że trudno się widzowi połapać we wzajemnych relacjach w przedstawianej rodzinie.

Przychodzi krewna z małą dziewczynką. Ta dołącza do chłopców i równie grzecznie zajmuje się zabawą. Rozmowa kobiet toczy się wokół obyczajów związanych ze świętem Matki Bożej Gromniczej. I tak, przypominają młodej kobiecie, że ma wyraźnie księdzu wspomnieć, że idzie „do wyvodu”, a po powrocie z kościoła wszyscy się modlą wokół gromnicy. Babka pyta o kierunek płomienia w czasie powrotu do domu i uspokaja się, że nikt z tego domu w tym roku nie odejdzie. Wypalają krzyże na suficie, nad oknami i drzwiami, co ochroni dom przed uderzeniem gromu, przypalają dzieciom grzywki, żeby się nie bały grzmotów. Następnie gromnicę przejmuje mężczyzna i wychodzi z nią do zabudowań gospodarczych, żeby i one były otoczone ochroną wyższych sił.

Teraz domownicy siadają wokół stołu, kosztują pierogów i rozmawiają. Niestety, rozmowa nie bardzo się klei i toczona jest bardziej we własnym gronie niż na użytek widzów. Zwłaszcza, że usytuowanie grających jest nieprzemysłane: jest ich niewielu, a skutecznie zasłaniają się wzajem. Szczególne wątpliwości budzi sposób potraktowania obecności dzieci. Otóż są one najzupełniej obojętne wobec tego, co się w izbie dzieje – nie interesują ich ani rozmowy, ani zdarzenia. Wielka szkoda, bo przecież opowieści i działania starszych (przede wszystkim magiczne zachowania z gromnicą) powinny być potraktowane jako okazja do przekazania następnemu pokoleniu jakiejś wiedzy o tradycji, o obrzędowości i jej znaczeniu. Wzmocniłoby to również wątlą dramaturgię pokazanego obrazka rodzinnego.

Pajda chleba – to tytuł widowiska **Teatru Wiejskiego GRUNT** z Rejowca (woj. lubelskie, pow. chełmski). Na scenie widzimy izbę. Gospodyni zamiata ją miotłą i śpiewa. W łóżku pod pierzyną ktoś śpi. Na parokrotne zawołanie „czas wstawać”, spod pościeli wychodzi dziewczyna to Zosia. Po paru chwilach wchodzi chłopiec i zgłasza chęć pomocy Gospodyni, która zabrała się do robienia ciasta. Sypie mąkę do dzieży. Okazuje się, że ów chętny do pomocy Chłopiec to zalotnik Zosi. Matka budzi śpiących za piecem chłopców. I tu widowisko „zatrzymuje się”. Akcja toczy się niemrawo. Słychać warczenie psa – okazuje się, że po wsi kręci się Cygan. Gospodyni kociubą rozgarnia żar w piecu. Wkłada do niego chleb obłożony liśćmi lipy i chrzanu.

Wchodzi Matka zalecającego się do Zosi chłopca i zabiera go do domu. Pojawia się Cygan z gitarą, ale pojawia dziwnie – jakby wszedł przez ścianę domu. Czas na wyjmowanie chleba. Wielka szkoda, że stojący po prawej stronie z przodu sceny stół zasłania dużej części publiczności widok pieca. Widowisko ma piękne pierwszych 10 minut ale potem zaczyna nużyć. Wydaje się, że Gospodyni ma za dużo tekstu. Może trzeba go podzielić między pozostałych aktorów, albo coś dopisać; więcej i częściej powinny mówić dzieci.

Lepsze zagospodarowanie przestrzeni gry – zwłaszcza odsłonięcie pieca - i bardziej „sprawiedliwy” podział mówionych kwestii przywrócić przedstawieniu blask, ożywi je i uatrakcyjni. Namawiamy do tego, bo spektakl ciekawie opowiada o zwyczajach i ludzkich zachowaniach, których na współczesnej wsi już nie zobaczymy.

Niemalże zaskoczenie czeka widzów po odsłonięciu kurtyny przed występem **Zespołu OSTAŁKI** z Ostałowka (woj. mazowieckie, pow. szydłowiecki) z widowiskiem *Młocka* – sceneria zupełnie nie zgadza się z tytułem. Oto wiejska izba, w niej rodzina i kilka sąsiadek. Ojciec naprawia grabie, matka odmawia różaniec, jedna z kobiet łuska groch, inna ubija masło, dwie kolejne łatają worki. Toczy się rozmowa o codziennych sprawach domu i wioski. Są jakieś kłopoty z masłem, więc na wszelki wypadek trzeba je odczarować. A może zaśpiewamy – pyta córka gospodarzy i już płynie pieśń *Szybko się żytko zazieleniło*, a potem druga o chłopaku co to przestał przychodzić. W pewnym momencie ojciec oznajmia, że grabie naprawione, teraz pójdzie po sąsiada, żeby pomógł w młocce. A gdy wraca, na prośbę córki chwytą skrzypki i gra mazurka. Kurtyna – czekamy na drugą odsłonę.

Teraz scena wygląda całkiem inaczej: pusta przestrzeń, a w głębi podłoga zaścielona słomą. Pojawia się ojciec i ów wezwany do pomocy sąsiad. I wtedy dopiero zaczyna się to, co zapowiada tytuł. Prawdziwa młocka. Mężczyźni imponują sprawnością, cepy uderzają rytmicznie, wznosi się prawdziwy zbożowy pył. Wreszcie – gotowe. Grabią słomę i wiążą w snopki. Córka przynosi worki i pomaga zbierać ziarno. W trakcie roboty pojawia się sąsiadka, by zamówić młocarzy do siebie. *Żyto z tej stodoły słynie na świat cały* – pieśń kończy pracę i spektakl.

Publiczność pozostaje z kłopotliwym pytaniem: oglądała jedno widowisko, czy dwa? I skłonna jest przystać na tę drugą odpowiedź. Bo otrzymaliśmy dwa obrazki – o wieczorze w chałupie i o młocce. Postać ojca uczestniczącego w obu, nie wystarcza, by zupełnie różne sytuacje i działania zespolić w całość. To poważny błąd teatralny – zabrakło decyzji co gramy i konstrukcji występu.

Zespół JAMNICZANKI z Jamnicy (woj. podkarpackie, pow. tarnobrzeski) przywiózł spektakl *Darcie pierza*. Jest to bardzo udana próba odtworzenia wieczoru spędzonego przy tytułowym zajęciu. Dobry scenariusz pozwala na zindywidualizowanie przedstawianych postaci i – dzięki konwencji

luźnej plotkarskiej rozmowy - wprowadzenie wielu ciekawych wątków. Na pochwałę zasługuje też poziom aktorstwa. Wykonawcy sprawiali wrażenie dobrze poprowadzonych przez reżysera: wiedzieli, co mówią, było ich bardzo dobrze słychać, słuchali siebie nawzajem, reagowali w sposób naturalny pięknie prowadząc dialog.

Jak zwykle w chałupie osobą wydającą polecenia i organizującą życie jest matka. To ona wysyła męża po drewno, szykuje worki z pierzem do roboty, opowiada córce (która „jest w szkołach”, więc na gospodarskiej robocie się nie zna) o wszystkim.

Przychodzące pomoc kobiety są dobrze scharakteryzowane, a słaby słuch jednej z nich powoduje nieporozumienia, co umiejętnie wykorzystane w scenariuszu, prowadzi do zabawnych sytuacji. Rozmowy dotyczą różnych wierzeń, obyczajów i sytuacji związanych z gęśmi, ale są też okazją do plotek, złośliwości na temat sąsiadek i opowieści o sobie.

Kiedy wraca mąż (bez drewna) okazuje się, że jest mocno wstawiony i chętnie, by coś zjadł, ale w garnkach pusto. Staje się to pretekstem do małżeńskiej kłótni i wzajemnego wypominania grzechów. Dzieje się to zbyt wprost, wydobywane są sprawy nazbyt intymne – wszak sąsiadki są świadkami, a widz bez dopowiedzenia też by się domyślił, o co chodzi. Wrzucony ze złością kapelusz do pierza pełni tę sama funkcję, co wpuszczany zwykle przez chłopaków wróbel.

Pojawia się kobieta prosto z lasu, gdzie była napastowana przez nieznajomego. Zostaje to skwitowane przez obecne: „żeby ino zgwałcił, nic by się nie stało, gorzej, jakby gębę obił – bo jak by się wtedy ludziom pokazać”. Kobieta dostaje skibkę suchego chleba – mleka nie ma: czarownica musiała sprawić, że krowa przestała mleka dawać. To znów powód do rozmów o ziołach i przesądach. Okazuje się, że na wszystko są sposoby.

Na koniec wpada pijany pan domu i opowiada, jak to udało mu się uratować gąsiora ze szponów lisa: gąsior choć mocno pokrwawiony, uszedł z życiem.

Wieczór kończy się „przepłukaniem gardła”, co nastraja do wspólnego pośpiewania. Dla dobra widowiska, zespół powinien popracować nad jego konstrukcją, przede wszystkim skrócić czas trwania niektórych epizodów.

Pieczenie chleba Zespołu POWIŚLANKI ze Świeciechowa (pow. kraśnicki, woj. lubelskie) mógłby w sumie nosić tytuł *Pierwszy chleb Maryni. Za mąż by się wydała, chleba piec nie umie...* – rozbrzmiewa pieśń. Dlatego szykująca się na gospodynię Marynia dała dobry pretekst do zaprezentowania tradycyjnego wypieku chleba z pełnym instruktazem, który był interesujący i pouczający także dla widzów. Pokaz ten ubogacono trafnie wybranymi wspomnieniami nieudanych wypieków, nakazami poszanowania „chlebusia”, prastarą modlitewką nad ciastem i dzieżą, dobrze wykonanymi licznymi pieśniami, opowieściami o leczeniu wodą święconą czy komiczną postacią głuchej babci. Do tego – żywy ogień pod piecem i jego zapach snujący się

między widzów. Atmosfera zatem sprzyjająca nauce pieczenia chleba. Jednakże teatralnie to przedstawienie nie było idealne. Należy przede wszystkim odsłonić piec i dać mu tym sposobem należne centralne miejsce, którego ustąpiłby dzieży w pierwszej części spektaklu. Trzeba również odstawić na bok wielki stół, uniemożliwiający widzom śledzenie akcji. I jeszcze – ograniczyć wielość czynności wykonywanych na scenie (łuskanie grochu, robienie masła, maglowanie, szycie), bo pieczenie jest tu najważniejsze. Wtedy scenografia i struktura przestrzeni scenicznej pomogłyby zogniskować działania aktorskie i odzwierciedliłyby istotę przedstawienia „Powiślanek”: życie wokół chleba.

Lesie, mój ty lesie to obrazek sceniczny przygotowany przez **Zespół JARZĘBINA** z Bukowej (woj. lubelskie, pow. biłgorajski). Obrazek o rzadkiej urodzie plastycznej, osiągniętej prostymi, ale wymagającymi wielkiej pracowitości, środkami. Horyzont i boczne kulisy to wielkie płaty płótna, na których wymalowano leśną okolicę, a na scenie – choinki, omszałe pniaki. Ta przestrzeń – jakby leśnej polany – zaludnia się kolejnymi postaciami. Z rozmaitych powodów tu się znalazły. Ktoś przyszedł po sitowie, ktoś inny po grzyby i jagody, najwięcej jest pastuchów bo to teren wyborny do wypasu bydła. A są i tacy, którzy próbują podkraść drzewo, jest też kobieta z odległej wsi, która zgubiła drogę. Jedni siadają na pniakach bo trzeba jakoś zabić czas pasienia, inni zatrzymują się na parę chwil. Ale każdy chętnie przyłącza się do rozmowy. Płyną więc kolejne opowieści. Długie i krótkie, rozweselające i budzące grozę. A najciekawsze z nich to te, których treścią jest las i okolica – strony bliskie i dobrze znane. Opowieści są pełne ciepła i znajomości rzeczy – lokalnych nazw, miejscowych legend i podań, natury będącej ich środowiskiem, miejscem życia. I jeszcze coś ważnego: kochają śpiewanie. Rozmowa przechodzi przeto w pieśń – o lesie, o pasterskim bytowaniu. Niełatwe było zadanie, bo nie ma tu akcji, trudno też zbudować pełnokrwiste postaci. Zespół zebrał za to dużo opowieści, podań, legend, pieśni i umiejętnie je skomponował, zbudował całość. Stworzył też klimat miejsca, pokazał jego niezwykłość. Zaś aktorzy wnieśli bogactwo barw i ludzkiego ciepła. Bardzo to udane teatralne zdarzenie.

Zespół „CANTUS” z Gorliczyny (woj. podkarpackie, pow. przeworski) pokazał przedstawienie *Spór o testament*; występ był sejmikowym debiutem. Na scenie widzimy siedzących na ławie syna, matkę i córkę. Martwią się złym stanem zdrowia Ojca. Ten wchodzi i narzeka, że wszystko go boli. Dzieci i żona rozbierają mężczyznę, kładą na ławie, przykrywają. Uradzają, że trzeba pójść do lekarza. Biorą kurę i kiełbasę. Idą do doktora. Ten nie zgadza się leczenie na odległość i każe przywieźć chorego. Ponieważ nie mają wozu, kładą Ojca na taczce. Ten spada z niej, z trudem układają go z powrotem. Wreszcie Ojciec jest u lekarza. Ten bada go, ale zwolnienie nie daje. Odchodzą zabierając ofiarowaną wcześniej kurę i kiełbasę. Wszystko to opowiedziane jest komediowo. Na

widowni słyszeć śmiechy.

Ale Ojciec oznajmia, że czuje nadchodzącą śmierć. A co z testamentem – woła rodzina. Przyzywają rejenta, który odczytuje testament Ojca. Okazuje się, że w momencie pisania został namówiony przez syna; testament pominął zupełnie córkę. Ta niszczy dokument, a stan Ojca polepsza się na tyle, że pisze nową jego wersję.

To interesujące, komediowe przedstawienie. Zawiera satyryczne spojrzenie i na chciwość i chytrą chłopców, i na bezduszność lekarzy. Zespół obdarowuje nas dużą porcją tak bardzo potrzebnego śmiechu. Jednak ostatnia część jest już – słusznie – całkiem serio. I tego zespół jakby nie zauważył: gra w tym samym tempie, z identyczną komediową przesadą. To bardzo psuje sens utworu, ale i efekt teatralny.

Trzeba też podkreślić, że nic nie zwalnia aktorów z obowiązku wyraźnego mówienia. I właśnie nad scenicznym, wyrazistym mówieniem zespół powinien jeszcze popracować. Należy również przyjrzeć się poszczególnym scenom i zadbać o wyraźniejszy, plastyczny ich kształt.

Wiele widowisk kolędniczych zaistniało przez lata na tarnogrodzkiej scenie. **Raj** zaprezentowany przez **Grupę Kolędniczą TATARY z Urzejowic** (pow. przeworski, woj. podkarpackie) wyróżniał się pozytywnie najpierw na poziomie scenariusza. Złożyły się nań zasadniczo trzy sceny: wygnanie Adama i Ewy z raju, ofiarowanie Izaaka oraz *herody*. Po drugie, na poziomie scenografii: otrzymaliśmy widowisko czyste, bez czegokolwiek zbędnego, a symbolem tej czystości jest obraz, jaki nam się ukazał po odsłonięciu kurtyny: pusta scena i jodełka z rajskim jabłkiem. Po trzecie - kawalerski, otwarty, mocny śpiew poruszał widzów i dawał pojęcie o tym, jak niegdyś kolędowanie o funkcji zalotnej mogło działać na panny. Mieliśmy bowiem w składzie zespołu właśnie kawalerów, co odpowiada tradycji, ale dziś zdarza się nieczęsto i wyróżnia wśród widowisk rekonstruowanych przez starsze pokolenie. Taki skład grupy pociąga za sobą przemianę w obrzędzie. Polega ona na aktualizowaniu tradycji, na które musimy się zgodzić i przyjąć jako naturalną kolej rzeczy. Tym sposobem to, co tradycyjne, spotyka się z tym, co współczesne, więc żywe. Kanony zostają prastare. Na przykład atrybuty diabelskie to ciągle czerni, czerwieni, ogon, rogi, maska, ale – realizacja odzwierciedla asortyment dostępny we współczesnych sklepach. Jednakże należy wskazać płaszczyznę, w której odchodzenie od tradycji jest zbyt dalekie i tego radzilibyśmy w przyszłości unikać. Mowa tu o budowaniu postaci. Do wartości *herodów* czy *raju* należy to, że każdej z postaci tradycja przypisała specyficzny sposób recytowania tekstu oraz poruszania się. I to powinno podlegać ochronie, podczas gdy zespół urzejowicki zaproponował nam współczesną interpretację tekstu i nadmiar „grania” sprowadzonego zresztą do ilustracyjnych gestów oraz niepotrzebnego, beładnego chodzenia Adama czy Heroda po scenie. Tekst i rysunek postaci tych widowisk obronią się same: wystarczy trzymać się tradycyjnego rytmu.

Grupa Obrzędowa z Trzciany (woj. podkarpackie, pow. rzeszowski) przyjechała na sejmik z *Herodami*. Izba wiejska, oszczędnie zagospodarowana: kuchnia, stół z ławą i taboretami. Ojciec przy stole, matka przy kuchni, chłopak rzeźbi w kawałku drzewa, jego dwie siostry intonują *Lulajże, Jezuniu...* Po paru chwilach słychać odgłosy za sceną, a potem zbiorowy śpiew – żeby pan gospodarz dobrze żył. Wkracza marszałek dworu, wita domowników, zapowiada wejście Króla Heroda. Herod jest dostojny i pewny swej władzy, ale już dotarła do niego wieść o narodzinach przyszłego króla świata, więc wzywa Żyda, by się dowiedzieć dokładniej. Dalej rzecz się toczy wedle utartego układu zdarzeń. Od wielu innych przedstawień herodowych to różni się wprowadzeniem – zgodnie z lokalną tradycją – postaci Dziada. To on jest głównym adwersarzem Żyda, między nimi rozgrywa się – tak to nazwijmy – obyczajowa warstwa akcji. Warstwę symboliczną uosabiają Śmierć i Diabeł, wymierzający Herodowi sprawiedliwą karę. Rozlega się pieśń *Przyjmij, Panie nasze dary*, potem następuje skuteczna przymówka do gospodarza o poczęstunek jadłem i napitkiem.

W tym ładnym plastycznie, dobrze granym i śpiewanym spektaklu, dwa momenty wymagają wskazania i polecenia uwadze zespołu. Pierwszy to sposób potraktowania postaci Żyda. Prawie zawsze w „herodach” jest on postacią charakterystyczną, przerysowaną. Tu jednak z owym przerysowaniem przesadzono, postać zamiast być śmieszna, zbliża się do karykatury. Na domiar złego zachowanie Dziada wobec Żyda budzi wątpliwości: starcia słowne mieszczą się w konwencji, ale wymachiwanie kijem budzi niesmak. Trzeba zachować umiar, bo nadmierna charakterystyczność nie jest w teatrze siłą lecz słabością. Druga ważna sprawa to sposób potraktowania gospodarzy. To przecież do nich przyszła grupa herodowa i dla nich gra widowisko. Tutaj domownicy przestali scenicznie istnieć: zepchnięci w kąt, z boku rozgrywanej akcji, zdają się całkiem zbyteczni. Nad rozwiązaniem tego problemu trzeba koniecznie popracować.

Zespół WYRYKOWIACY z Wyryk (woj. lubelskie, pow. włodawski) na Sejmiku zagrał *Wynoczki Mani* – rzecz o wianowaniu młodej panny. Na scenie izba ze stołem pośrodku. Matka rozmawia z córką o zbliżającym się weselu. Mówi gwarą pogranicza polsko-ukraińskiego, bo – jak tłumaczy córce – w tym języku się wychowała. Przekazuje jej grabie, koszyk na ziemniaki, motki lnu, płótno, pasiaki, maglownicę, sierp i inne przydatne w gospodarstwie przedmioty. Niektóre „dary” opatruje objaśnieniem ich funkcji. Na koniec córka dostaje trzosik z pieniędzmi. Matka martwi się czy córka pójdzie do dobrych ludzi. Przychodzą sąsiadki, zaczyna się modlitwa za pomyślność Mani - „Ojczy nasz” i „Zdrowaś Mario”. Potem robią kwiaty do przyozdobienia izb i gości weselnych. Powstaje wieniec dla panny młodej. Jedna i druga pieśń. Czekamy, że coś się wydarzy, że będzie przynajmniej jakaś różnica zdań. Ale nic takiego

nie następuje, wszystko toczy się jakby bez wyrazu, bez emocji. Nawet informacja, że Mania prawie nie zna przyszłego męża, a tylko wykonuje polecenie rodziców, nie budzi żadnej reakcji. Kobiety rozstawiają jedzenie na stole. Gospodarz przynosi wódkę. Pojawia się też Dziadek i bez słowa siada za stołem. Zebrani piją wódkę, jedzą śmietanę i śpiewają.

Nie ma cienia konfliktu, zatem nie ma dramatu; jest rozpisana na głosy beznamiętna relacja. Trzeba przejrzeć scenariusz, coś z sobą zderzyć. To przyniesie publiczności konieczność opowiedzenia się po którejś ze stron. Na scenie musi być więcej życia, ruchu, działań. Warto nad tym popracować, bo przedstawienie przynosi nam sporo wiedzy o świecie, którego już nie ma.

Zespół **ZALUCZANIE** z Załucza Starego (woj. lubelskie, pow. włodawski) przywiózł widowisko *Swaty przy grochowie*. Tytuł jest całkowicie usprawiedliwiony, bo rzeczywiście, powodem spotkania jest łuskanie grochu, ale treścią jest swatanie. Okazuje się, że córka gospodarzy – Natalia – musi być bardzo atrakcyjną partią, bo każda wchodząca do domu kobieta chciałaby ją wyswatać i ma swojego kandydata. Główna bohaterka nigdy nie zostanie nam pokazana, jest o niej jedynie mowa, jej walory i uroda kreowane są więc przez wyobraźnię widza. Jest to bardzo dobry zabieg scenariuszowy.

Pośród sąsiadek-swatek, prym wiedzie Walusiowa, która scharakteryzowana zostaje jeszcze przed pierwszym wejściem. W oczekiwaniu na kobiety, które mają pomóc przy grochu, ktoś o nią pyta, ktoś drugi zaś stwierdza, że „Walusiowa, jak przyjdzie, to cukru albo soli pożyczyć”. No i faktycznie. Tym razem próbuje ponadto swojego krewnego – Sylwka – wyswatać z Natalką. Okazuje się on nieodpowiednim kandydatem: ma 30 lat, Natalka 17, on pije, ma zeza i „jakby zacny kawaler był – to by dawno znalazł”. Słusznie więc stwierdzają, że „swatka, jak swatka, ale towar trudny do zbycia”.

Złośliwości nie są bezinteresowne, bo „wszystkie baby się za swatanie wzięły”. Jesteśmy świadkami dyplomatycznych i przetargowych manewrów, które miałyby doprowadzić do połączenia majątków. Okazuje się, że Natalia jest nieobecna, bo z ojcem do młyna pojechała, a i to ma podtekst matrymonialny: jest tam pewien młody młynarczyk, przyszły spadkobierca majątku ojca. Ciotka Genowefa Tchórz staje w obronie miłości: „tego, co kocha, tego będzie miała!”. Jedna z kobiet przyprowadza muzykanta z harmonią. Ten – choć bardzo niemłody - również chciałby się z Natalką żenić. Zaśpiewajmy o swatanu - postanawiają kobiety. (Ciekawe tylko, po co wprowadzać na scenę akordeonistę, żeby zaraz po jego wejściu śpiewać bez akompaniamentu?)

Kobiety zabierają się za łuskanie grochu. Robią to na klęcząco, wokół położonej na podłodze płachty. Teraz akordeonista się przydaje: gra, kiedy pracujące śpiewają.

Zgromadzenie przy pracy jest jak zwykle okazją do żartów, opowieści, przekomarzanek i plotek. Raz nawet, żeby oderwać się na chwilę od pracy,

kobiety proszą o „coś do tańca”. Tańczy jedna para. Potem praca i rozmowy toczą się dalej. Wieczór nie jest stracony, bo udaje się wreszcie jednego z obecnych, od dawna nieśmiało zalecającego się, wyswatać z siostrą akordeonisty.

Udało się stworzyć obrazek bardzo żywy i prawdziwy, mimo że oparty głównie na dialogu, a nie na akcji. Brak zdarzeń wymaga od aktorów dużego zaangażowania w rozmowę. Dzięki dobremu scenariuszowi mamy okazję przyjrzeć się, jak ważną sprawą – nie tylko dla bezpośrednio zainteresowanych – była sprawa wyboru współmałżonka. Tu warto zacytować panią dr Katarzynę Smyk, która podsumowała całą sytuację słowami: „Miłość nie zawsze chodziła tymi samymi drogami, co orszak weselny.”

Nic dodać, nic ująć, a tylko z głębokim ukłonem podziękować **Zespołowi HERODY STRAŻACKIE** z Działoszyc (pow. pińczowski, woj. świętokrzyskie) za zrekonstruowane - po latach przerwy w pracy teatralnej - widowisko herodowe. Efekt jest oszałamiający, gdyż powstał spektakl bardzo szlachetny, przesycony monumentalnością oraz dostojeństwem. Wzbudza zachwyt i szacunek wysoką kulturą teatru, której towarzyszy staranność wynikająca z miłości i przywiązania do tradycji. Emblematem tej pieczołowitości pozostaną kolorowe, wiernie odtworzone stroje, które wymagały pomysłowości i zaangażowania choćby w znalezienie materiału, który godnie zastąpiłby idealną i najlepszą do tego celu tkaninę sprzed 60 lat. Z innymi elementami poszło łatwiej - tekst, sposób jego wygłaszania i zachowania na scenie, wydają się organicznie zespolone z druhami OSP. Lata ćwiczeń w młodości, gdy po prostu chodzili po kolędzie z *herodami*, pozostawiła trwałe ślady, po których my dziś jesteśmy prowadzeni w głąb tradycji. Zarazem do bogatego zestawu *herodów* dodajemy wariant ciekawy i wartościowy, dzięki rzadko spotykanym składnikom: postaci Krakowiaka i jego *zabawom w sztuczki* z Żydem czy wojenkowej pieśni o ułanie umierającym pod kaliną, pochylającą się jak matka. To, co tradycyjne, zostaje z szacunkiem podniesione do rangi monumentu, któremu niezaprzeczalnej mocy dodaje czystość znaku teatralnego, dbałość o słowo i niezalecający się do publiczności śpiew - jak kolęda w finałowym *obkolędowaniu* panny. A jest to śpiew pieśni przesyconej złotem, które symbolicznie niesie sensy bogactwa i królewskiego dostojeństwa, jak bogate i dostojne było widowisko zespołu z Działoszyc.

Wszystkich świętych i Zaduszki, tak nazywa się spektakl przygotowany przez **Zespół SENIORZY** z Urszulina (woj. lubelskie, pow. włodawski). Temat zawarty w tytule jest ważny dla każdej kultury. Moment, czas, obyczaje, które pomagają nam się oswoić z przejściem na drugą stronę i przyzwyczajają do myśli, że wszystkich nas czeka ta ostateczna wyprawa – to obszar rozmyślań, wierzeń, ceremonii i obrzędów niezwykle delikatnych, ciekawych i pouczających. To, jak podchodzi do swoich Zmarłych dana społeczność, wiele

mówi o filozofii jej życia. Dlatego z prawdziwym zainteresowaniem, podszytym dreszczem emocji, oczekujemy przedstawień dotyczących tej sfery. Tak było i tym razem. Udało się twórcom pokazać gromadę ludzi, dla których te dwa dni w roku są istotne. Poznawczo przedstawienie jest bardzo ciekawe, bo dowiadujemy się wielu rzeczy dotyczących omawianych świąt. Jest mowa o zakazach związanych z robotami domowymi, które mogłyby duszom przeszkadzać, przygotowywany jest chleb i pierogi dla dziadów chodzących po prośbie i w zamian za jadło oferujących modlitwy za zmarłych, robione są kwiaty z bibuły zdobiące wieńce. Ludzie wierzą, że dusze potrafią pomóc żyjącym. Ich natura jest w tych wyobrażeniach lekko materialna, jako że zostawia się na noc drzwi i furtę otwarte, by dusze mogły wejść i posilić się jadłem specjalnie dla nich na stole pozostawionym. Pachnie jeszcze pogańskimi dziadami, choć wpisanymi w katolicki kalendarz.

Dużo natomiast pozostawia do życzenia strona teatralna widowiska. Niedostatki scenariusza mają zasadniczy wpływ na realizację przedstawienia. Podział na dwie części, oddzielone opuszczeniem kurtyny, nie służy zwartości narracji. Wszystkie poruszone ciekawe tematy (choćby dusze przybywające przy trzecim kurze, postać dziada czy powroty zmarłych, sny z nimi związane) aż proszą się o próbę pogłębienia. Należałoby zamiast wymieniać różne wierzenia w sposób podręcznikowy, wspomnieć kogoś bliskiego, konkretnego. Wrogiem wykonawców jest ustawienie na pierwszym planie dwóch(!) stołów, które zasłaniają wszystko. Nie służy przedstawieniu wykonywanie (na tych stołach zresztą) kwiatów z bibuły w czasie rzeczywistym – trwa to strasznie długo i jest nieteatralne. Należałoby się zastanowić nad konwencją kostiumów, na które zabrakło jednorodnego pomysłu. I jeszcze jedno: o tych dniach mówi się „Święto zmarłych”, zatem oni powinni być nieobecni bohaterami opowieści, warto więc zrezygnować z natłoku codziennych spraw i zachowań (kręcenie maku, wyliczanie co do zrobienia w gospodarstwie, pożyczanie sita), bo te dni są właśnie niecodzienne – pełne zadumy, refleksji, wspomnień.

Jeden z najmłodszych (istnieje od 2008 roku) sejmikowych teatrów – **Zespół KASZTELANIE** z Kij (woj. świętokrzyskie, pow. pińczowski) wystąpił z widowiskiem herodowym *Przyszliśmy to po kolędzie*. Niemal pusta scena, zmierza ku niej przez widownię, barwna grupa, śpiewająca *Wśród nocnej ciszy*. Już są na scenie i do nas zwracają się ze zwyczajowym oznajmieniem o przybyciu z kolędowaniem. Król Herod – mężczyzna o imponującej posturze i głosie – chełpi się swą władzą nad światem. Jego wojsko przypomina kostiumem zwierzynieckie lajkoniki: barwne i ruchliwe. Tak też – jednak raczej biednie – wygląda Żyd. Jest jeszcze Turek, skory do bitki, bo nie boi się wojny. Grają znany kanon, ale grają niezwykle – z wielką siłą, dynamiką. Wypełniają działaniami nie tylko scenę: Diabeł (a potem i Śmierć) wpada na widownię, straszy widłami. Żyd - zwinny, pełno go wszędzie – tworzy piękną postać: jest śmieszny, nie ośmieszany, spod żartów przebija spryt. W znany tekst wpleciono

udatnie lokalne „wstawki”, jak piosenka o ciotce, co to się wieszala... Porywająca jest walka między Diabłem i Śmiercią o duszę i ciało Heroda. A za chwilę triumfalnie wpadają między widzów, jakby tu szukali następnych grzesznych ofiar. Gdy już spełniły się zdarzenia, które spełnić się miały, zespół staje przed widzami i składa życzenia. Intonują *Do szopy, hej pasterze...* zaś silnie brzmiące *Za kolędę dziękujemy* kończy widowisko.

Siła, dynamika, uroda plastyczna, dobrze budowane postaci – to już zostało powiedziane. Ale koniecznie trzeba jeszcze dostrzec rzadką czystość i moc słowa. I może przede wszystkim świetne rozwiązanie teatralne: ta grupa przyszła do nas, my jesteśmy nie tylko widzami, ale też gospodarzami. To dla nas ten występ, pieśni, życzenia. Piękne i wzniosłe w swej jasności i prawdzie zdarzenie.

Zespół Regionalny GRODZISZCZOKI z Grodziska Dolnego (woj. podkarpackie, pow. leżajski) zaprezentował widowisko *Miodobranie*. Na scenie widzimy ule. Jest też stół i ława. Dwaj mężczyźni przygotowują się do wyjmowania miodu. Jeden z nich opowiada o pszczołach i barciach. Bardzo dokładnie wykonują pszczelarskie czynności. Nasłuchują brzęczenia pszczół w ulach. Odymiają je. Potem wyjmują plastry i kładą do kadzi. Następnie przelewają miód do kadłubków. Akcja toczy się wolno. Zbyt wolno. Zdecydowanie należy ją przyspieszyć.

Na scenie pojawia się płacząca dziewczyna. Okazuje się, że płacze z radości, bo przysłano do niej swatów. I znowu przedstawienie zwalnia. Niewiele się dzieje. Pojawiają się klienci – chcą kupić miód. Jest to dobry miód – tatarczany. Po targach kupują 10 garnców za trzy i pół reńskiego. Tu zauważyć trzeba bardzo ciekawą postać bartnika: dobry pomysł nadania mu cechy pewnej bezwolności, nieumiejętności podjęcia decyzji – najbliższą nawet sprawę musi uzgodnić z bratem i matką. Teraz pora na pieśń o miodzie. Od tej chwili kolejne obrazy taneczne z pieśniami zastępują sceniczne dialogi. Jest to duża część widowiska. Gubi się gdzieś główny temat – miodobranie i chociaż dynamika tańców i śpiewów sprawia widzom wiele przyjemności, to wyraźnie brakuje kontynuacji tytułowego tematu i opowieści o zwyczajach związanych z obecnością miodu w kulturze naszych przodków.

Na ławie dziadek, stroi skrzypeczki, rozlega się ich delikatny dźwięk, tuż przy dziadku wnuczek. Za stołem gospodyni i odmawiająca różaniec babcia. Dziewczyna skrobie wosk z gromnicy. Tylko wosk ze święconej nadaje się do andrzejkowych wróżb – tylko on pokaże pannie przyszłość. Zaraz wejdą jej koleżanki, za nimi przyjdzie sąsiadka z andrzejkowymi „akcesoryjkami”. Ona w całej okolicy słynie z umiejętności docierania do wiedzy tajemnej. Tymi umiejętnościami dzieli się z nami podczas *Wigilii św. Andrzeja* – spektaklu **Zespołu Folklorystycznego GOTARDOWIE** ze Zwolenia (pow. zwoleński, woj. mazowieckie). Jego wartość poznawcza jest znaczna, gdyż naprawdę dużo

nieczęsto notowanych wróżb jest opowiedzianych lub pokazanych. Niektóre zostają odtworzone w swojej tradycyjnej pełni: z magicznymi gestami, ich kierunkiem, ilością powtórzeń, wykorzystanymi rekwizytami, objaśnieniami ujawnianych sensów. „A idźże, chodaczk, po calutkiej izbie, a nie zatrzymuj się aż na samej przyzbie”, „Andrzeju, Andrzeju, dziewcząt dobrodzieju, wołę swoją okaż, najmilszego pokaż” – teksty towarzyszących działaniom modlitewek rytmiczują spektakl. Wiele takich pozytywnych elementów można znaleźć w występie „Gotardowian”, Gorzej ze stroną teatralną. Lider zespołu, zwłaszcza że gra gościa, powinien pozwolić działać, mówić, istnieć gospodarzom, którzy cały czas pozostają najzupełniej bierni, bardziej są statystami niż uczestnikami. Po panienkach, którym oto objawia się los - czasami przecież okrutny, jak pójście do zakonu czy ślub w perspektywie dopiero dziesięciu lat - spodziewamy się jakichś reakcji. I nasze oczekiwania się nie spełniają: dziewczyny pozostają zupełnie niezaangażowane emocjonalnie w przedstawianą sytuację, co dałoby się zmienić, gdyby otrzymały więcej zadań. Można więc powiedzieć, że obejrzelśmy dobrze przeprowadzoną lekcję wróżenia, w której jednak zabrakło teatru. Zespół zaś dysponuje poważnym potencjałem: umie zebrać wartościowy etnograficznie materiał, skonstruować scenariusz, różnorodnie zagospodarować przestrzeń sceny, włączyć tradycyjnego instrumentalistę czy zaprezentować taniec. Zamyka on widowisko, jak zamykał ongiś wieczór andrzejkowy, po którym młodzi wróżyli sobie jeszcze w drodze do domu. Podsluchane w mijanych chatach **słowa ruchome** zwiastowały zmianę stanu w nadchodzącym roku, zaś **stojące** – zapowiadały, że trzeba będzie odczekać cierpliwie kolejny rok. Tak i my z cierpliwością czekamy kolejnego spektaklu zespołu ze Zwolenia.

Przedstawienie *Nasza Krasula* Zespołu Obrzędowego **GRABOSZCZANIE** z Grabownicy (woj. podkarpackie, pow. brzozowski) przygotowane zostało z udziałem dosyć dużego grona aktorów. Scenariusz i realizacja są przykładem solidnej pracy teatralnej. Udało się uniknąć sztampowej scenografii „odtworzącej” i przy pomocy kilku elementów umówić się z widzami na wiele miejsc akcji bez konieczności zmian dekoracji. I tak, po lewej jest studnia, środek zagospodarowano ławą i kilkoma płótkami, które odpowiednio ograne stają się różnymi miejscami akcji (dom, podwórko), a po prawej dominuje wiklinowy model tytułowej Krasuli, z której to powodu całe zamieszanie. Dodane pieńki, zydle czy koryta dopełniają obrazu. Autorzy bardzo zręcznie utkali scenariusz obyczajami i wierzeniami związanymi z pierwszym wyganianiem bydła na wypas w dniu św. Wojciecha. Bogactwo przedstawionego materiału jest nie do przecenienia: pilnowanie chałupy, studni i obejścia od zmierzchu do świtu, plecienie nowego powrozu koniecznego do zarzucenia krowie na rogi, zakaz pożyczania czegokolwiek w tym dniu czy długi szereg obrzędów i czynności rytualnych wokół zwierzęcia, koryta, obory. Wszystko to udało się ułożyć w dość gęsty spektakl pełen akcji, gdzie aktorzy

nie tylko bardzo świadomie ze sobą współpracują, ale też robią to dobrze i znajdują w tym przyjemność, która udziela się zainteresowanej i rozbawionej publiczności. Mamy galerię zróżnicowanych postaci świetnie ze sobą rozmawiających, z humorem potraktowane sytuacje, jak choćby „rozprowadzanie” warty, czy teźże pełne przygód czuwanie. Na uwagę zasługuje teatralne potraktowanie czarownicy, która poprzez brawurowe, niemalże taneczne wykonanie staje się postacią na granicy rzeczywistości i wyobrażenia o niej. Pochwalić trzeba realizatorów za bardzo umiejętne wykorzystanie wielu rekwizytów, które nie tylko ilustrowały opisywane obyczaje czy czynności, ale odsyłały do wyobrażeń przestrzeni, zarówno gospodarstwa jak otaczającej przyrody.

Korekty wymaga jeden element: otóż dwie postaci – syn i parobek – pojawiają się dopiero pod koniec widowiska. To dziwne i nieuzasadnione, bo przecież są domownikami, a tu nie zostali wprzęgnięci w zespołowe działania, sprawiedliwie rozdzielone pomiędzy członków rodziny.

Zespół Śpiewaczo-Obrzędowy KOWALANKI z Kowalina (woj. lubelskie, pow. kraśnicki) wystąpił na sejmikowej scenie z przedstawieniem *Prządki w Kowalinie*.

Na scenie widzimy piec, diagonalnie ustawiony stół, ławę z motowidłem i kredens. Po izbie krząta się babka, potem przędzie, przychodzi sąsiadka i nawija nić. Wnuczka wnosi pierogi, częstuje pracujące kobiety. Babka opowiada o psie Pana Jezusa. Kiedyś Jezus przygarnął go a pies wiernie służył przez lata, gryzł oprawców w czasie Męki Pańskiej; w nagrodę dostał się do nieba. Do izby wchodzi zielarka, rozdaje zioła. Wszyscy nazywają ją Ciotką, jej napary pomagają we wszystkich dolegliwościach. Stare kobiety siedzą na ławie z przodu sceny i opowiadają o Inie.

Na stole ustawione są naczynia z wieczerzą. Kiedy już wszyscy zasiadają, słyszymy różne mądrości i porzekadła np. „Suknia zdoła a rozum człowieka robi”, „Pijany chłop to głupi chłop”. Wpada sąsiadka i skarży się, że prosiak jej uciekł. Słyszymy komentarz: „ckniło mu się to se poszedł”. Wszyscy piją słodką wódkę. Jedna z kobiet żali się, że syn nie chce się żenić.

Działania i rozmowy toczą się wolno. Koniecznie trzeba przyspieszyć akcję, a także uporządkować konstrukcję, by wieczerza nie była dłuższa od tytułowego przędzenia.

Na koniec przychodzi akordeonista i zaczynają się tańce. Kiedy muzyk wychodzi, dzieci idą spać. Mąż namawia żonę na „zbytki” w stodole. Wychodzą.

„Kowalanki” – które mają za sobą niejedno sceniczne doświadczenie - zebrały dużo ciekawego materiału, możliwości wykonawcze zespołu są niemałe, a mimo to spektakl trudno zaliczyć do w pełni udanych. Jakie są powody? Przede wszystkim brak odpowiedzi na pytanie: co jest w widowisku najważniejsze, bo wtedy wszystkie inne zdarzenia i rozmowy musiałyby zostać podporządkowane

głównemu wątkowi, wiadomo by było, które postaci są pierwszoplanowe, a które wypełniają tło. A mówiąc najprościej – byłaby konstrukcja, której tutaj zabrakło.

*

To był jubileuszowy XXXV sejmik międzywojewódzki w Tarnogrodzie. Nic dziwnego, że oprócz spektakli były wspomnienia, podsumowania, wyróżnienia. Tarnogrodzkie spotkanie wiejskich teatrów jest szczególne – młodsze od Stoczka Łukowskiego, od długiego czasu silniej przyciąga teatry, które znajdują tutaj niepowtarzalny klimat i niezwykłą troskę ze strony gospodarzy. To przyciąganie znajduje potwierdzenie w wynikach liczbowych: w ostatnim dziesięcioleciu roczna „średnia” to 17 - 18 zespołów, rezultat o jakim inne sejmiki mogą tylko marzyć. By ta część obrazu była pełna, dodajmy że do tej pory na tarnogrodzkiej międzywojewódzkiej imprezie obejrzelśmy blisko 500 widowisk.

Komisja Artystyczna dostała w tym roku trudne zadanie: obejrzyć i omówić 19 spektakli, wydobyć ich warsztatowe zalety i wady. Nie narzekamy jednak na nasz los, bowiem jubileuszowy sejmik był bogaty w spektakle ale i bogaty różnorodnością poszukiwań repertuarowych, wielością satysfakcji artystycznych. Dziękujemy za to zespołom i ich kierownikom. Zaś gospodarzom – władzom Tarnogrodu i Tarnogrodzkiemu Ośrodkowi Kultury – dziękujemy za to, za co składamy ukłon przy każdym sejmikowym spotkaniu: za sprostanie trudom organizacji imprezy i za stworzenie atmosfery teatralnego święta.

Tarnogród, 7 lutego 2010 r.

Komisja Artystyczna